

## WYJECHAĆ ZE SKRZYPCAMI

*Po marcu 1968 roku Polskę opuściło między innymi 492 pracowników naukowych i 29 profesorów, parę tysięcy studentów, 500 pracowników różnych ministerialnych wydziałów, 219 dziennikarzy i publicystów i 90 artystów i muzyków, w tym trzech skrzypków. (z raportu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych)*

Człowiek stworzył skrzypce w poszukiwaniu doskonałości, żaden inny instrument, dosłownie i w przenośni, nie leży grającemu bliżej serca. Skrzypkowie tulą je do siebie jak małe dziecko, a skrzypce, wsłuchując się w najgłębsze zakątki ich duszy, wydają tony najbardziej osobiste. Wirtuozi potrafią wydobyć z nich tony i wibracje charakterystyczne wyłącznie dla własnej wrażliwości. Są one jedyne w swoim rodzaju – jak linie papilarne palców dotykających strun tego zadziwiającego instrumentu. Podobne kształtem do pięknej kobiety, delikatne, wymagają czułości i łagodnego traktowania.

Gra może być pogodna i wesoła – ta charakterystyczna jest dla Cyganów i Żydów, którzy wędrując kiedyś po miasteczkach i wsiach nieśli ludziom radość, a nie tylko przesądny strach przed nimi. Mówi się nieraz, że człowiek, który nie zaznał bólu nie potrafi w pełni cieszyć się radością muzyki. Skrzypce najlepiej wyrażają smutek, żal i ten niezwykły śmiech – przez łzy. Nie przez przypadek jest to instrument umiłowany przez Żydów i Polaków, te dwa chyba najbardziej melancholijne narody świata.

Elementy smutku i tęsknoty w wielu mazurkach Henryka Wieniawskiego zaświadczać nie tylko o jego żydowskich korzeniach ze strony matki z domu Wolf i ojca, którego prawdziwe nazwisko było Rofe-Pietruszka. Nazwisko Wieniawski przyjął od nazwy dzielnicy w Lublinie –Wieniawy. Jego muzyka niesie w sobie klimat charakterystyczny dla polsko-żydowsko-chasydzkiego czasu Lublina.

Jak żaden inny instrument mogły też skrzypce ratować życie ludzkie w najbardziej mrocznych czasach brutalnej pogardy okazanej człowiekowi. Można było je zawsze wziąć pod pachę i pojechać do innego miejsca, bezpieczniejszego dla życia. Fortepian byłby za drogi. Pan Bóg, los i ludzie byli bardziej łaskawi dla skrzypków niż dla innych. Skrzypkowie kojarzą się bowiem z zacnością i dobrem. Nawet Adolf Hitler, największy ludobójca świata, w niedawno odnalezionej w Rosji, a wywiezionej z Niemiec płytotece, miał utwory Czajkowskiego w wykonaniu słynnego polskiego

wirtuoza pochodzenia żydowskiego Bronisława Hubermana, odznaczonego w 1926 r. orderem Polonia Restituta. Skrzypce uratowały mu życie, gdy wyjechał z okupowanej Europy przed napaścią Hitlera, aby grać po świecie. A w 1936 zaprosił Toscaniniego na inaugurację założonej przez siebie w Palestynie Filharmonii Izraelskiej, w której grali, uciekinierzy przed prześladowaniami Hitlera. W czasie wojny pomagał błąkającym się po świecie polskim uchodźcom. Od 1997 r., co dwa lata, w Filharmonii Częstochowskiej organizowany jest Festiwal Wiolinistyczny imienia Bronisława Hubermana.

Władza ludowa potrafiła w 1968 r. pogonić swoich skrzypków po świecie, by poszukali sobie innego miejsca do życia i grania. Razem z tysiącami osób poszli oni na Dworzec Gdański w Warszawie, a z nimi duchy tych, którzy od setek lat grali na polskich ścieżkach, podwórkach i salach koncertowych.

### ***Leonid Olo Spiro***

– Chodź syneczku, zaniemiemy cię do pokoju, pan Leszek przyszedł z tobą porozmawiać – mówi Lucyna do swojego męża Leonida Olo Spiro.

Lucyna – Polka o wiele lat młodsza od męża zajmuje się nim, jak małym dzieckiem.

Rok po wyjeździe Olo z Polski Lucyna uciekła do niego z wycieczki Orbisu. W Wiedniu zeszła z pociągu a on czekał na nią z gotową wizą szwedzką na dworcu. Z własnej woli poszła do rabina w gminie sztokholmskiej i przeszła na judaizm, chociaż nieraz łatwiej jest wygrać konkurs skrzypcowy niż przejść na judaizm. Dwa lata chodziła na lekcje religii i kultury żydowskiej, bez żadnej gwarancji, że rabin uzna efekty nauki za wystarczające. Judaizm bowiem nie jest religią misyjną. Jest elitarny. Pani Lucyna w synagodze w Sztokholmie bywała częściej niż Olo.

Rozmawiamy u nich w domu, na południu Sztokholmu, jesienią 2006 roku. Olo ma już 90 lat, leży malutki i skurczony jak główka skrzypiec. Od roku przywiązany jest do łóżka, łamliwy jak włoski smyczka. Ale rozmawiać chce przy stole z ciasteczkami i herbatą. Bierzymy go na ręce i przenosimy do wózka. Wózek dojeżdża do stolika w pokoju gościnnym.

Zawsze elegancki, do obiadu wkładał marynarkę, i także w Sztokholmie, jadano na białym obrusie. Znajomi Olo opowiadają, że był całe życie człowiekiem delikatnym, może nawet delikatniejszym niż skrzypce. Nikomu nie chciał przeszkadzać i nawet na przystanku autobusowym przepuszczał wszystkich, zapraszając uprzejmym gestem ręką i uśmiechem, aby weszli przed nim.

Rodzina Spirów przybyła do Polski w XVII wieku z Hiszpanii. Groby jego przodków są w Opatowie, Krakowie i w Przemyślu. Pradziadek, Natan Nata Spiro, był znanym talmudystą w Opatowie, o czym zaświadcza Encyklopedia Judaica. Dokumenty o jego rodzinie pojawiają się od 1630 roku. Przed wojną mieszkał z rodzicami i młodszym bratem na ulicy Żurawiej 24A. Kamienica stoi do dzisiaj. Był oczkiem w głowie mamy, która przeniosła go do innej szkoły, leżącej po tej samej stronie ulicy, żeby nie musiał przechodzić przez jezdnię, żeby, nie daj Boże, nie potrafiła go dorożka. Ojciec był niezwykle mądrym i uzdolnionym technicznie zarządcą 12 kamienic bogatych Żydów. Sam nabył, tuż przed wojną, dwie wille w Józefowie. W jednej z nich rodzina spędzała urlopy, drugą wynajmowała letnikom. W czasie wojny, przed wysiedleniem do getta, polski policjant granatowy zażądał od pana Spiro kluczy do jednego z domów i wprowadził się tam z rodziną. Potem mieszkał tam jego zięć z córką i do dzisiaj mieszka tam rodzina byłego granatowego policjanta. Dom rodzinny Ola w Warszawie na Żurawiej był dostatni, stał fortepian, duża biblioteka książek polskich. Olo studiował chemię, ale ojciec –przewidujący i mądry człowiek – namawiał go do nauki gry na skrzypcach. „Kto wie, co może się w życiu zdarzyć, synku“. Dziadek kupił mu skrzypce i Olo skończył chemię, a potem Wyższą Szkołę Muzyczną w Warszawie i tam, z orkiestrą symfoniczną, grał swój koncert dyplomowy w 1935 r. Wpadał do niego na obiady Władek Szpilman, który studiował na tej samej uczelni, jego rodzina była trochę biedniejsza i mama Ola zapraszała go zawsze na posiłek.

Kiedy w 1939, Niemcy dochodzili do Warszawy, ojciec polecił Olowi wyjechać do Białegostoku, aby tam spróbował jakoś się urządzić, a oni później dojadą. Niestety, nie zdążyli... Poszli najpierw do getta a potem na Zagładę. Zginęli w Brzezince. Życie Olowi uratowały skrzypce. Grał najpierw w restauracji w Białymstoku. Kiedy Rosjanie weszli do miasta, został aresztowany za odmowę przyjęcia obywatelstwa i skierowany do wyrębu lasu w Republice Komi ZSRR. Ostatnim środkiem lokomocji była tratwa na rzece, z której wyrzucono więźniów NKWD do baraków w lesie. Kiedy Olo otworzył futerał i zobaczył skrzypce zalane wodą, załamany płakał na pryczy. Wyczerpująca praca na czterdziesto stopniowym mrozie przy wyrębie lasów, a latem w niesamowitym upale, komarach i głodowych racjach chleba, zabierała życie wielu ludziom. Olo w czasie wolnym od pracy, przygrywał więźniom na

osuszonych przy piecyku skrzypcach. Potem, za zgodą NKWD, założono kółko muzyczne, które poprowadził. Kiedyś, na przekór pilnującym ich strażnikom, Żydzi i Polacy zaśpiewali po polsku, bo strażnicy polskiego nie znali, „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród”. Olo mówi, że niektórzy Żydzi mieli trudności ze słowem „rzucim“ i śpiewali „rzucimy“, ale jakoś sobie poradzili. I był to niezapomniany wieczór, wspomina Olo. Po trzech latach morderczej pracy, pod koniec wojny, przeniesiono go na Ukrainę. Na tyłach armii czerwonej zakładano orkiestry. W 1946 roku, Olo był już w swojej zrujnowanej Warszawie. Mieszkanie Spirów na Żurawiej było zajęte. Jeden z domów w Józefowie był zajęty przez starszego syna granatowego policjanta. W drugim domu nie było nic, a więc władza ludowa dała mu trzy pokoje w jego własnym domu przy ulicy Świerczewskiego 15.

Władek Szpilman napisał już wtedy pieśń „Do roboty” do słów Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego, która rozlegała się od rana do wieczora we wszystkich głośnikach, ale pracy Olowi nie dała.

– Mówię do niego: wiesz, że umiem grać, ale nie chciał ze mną rozmawiać, odwrócił się i odszedł. Pojechałem więc do Dzierżoniowa na Dolny Śląsk uczyć muzyki w szkole. W 1949 r. wróciłem do Warszawy i dostałem pracę, od Polaków, najpierw w Filharmonii Warszawskiej a potem w Teatrze Wielkim – opowiada Olo.

W 1949 roku grał na koncercie inauguracyjnym, na otwarciu filharmonii. Szybko stał się cenionym muzykiem, duszą towarzystwa. W czasie swego pobytu w Warszawie, Chaczaturian, który wystawiał w Teatrze Wielkim balet „Spartakus”, bardzo niezadowolony z gry orkiestry, krzychał do skrzypków wskazując Oła „Czy nie możecie grać tak jak ten pan?”

Urósł wtedy w oczach kolegów do rangi „gieroja”. Kochali go wszyscy, a on nie wadził nikomu, był miły, uczynny, delikatny. W marcu 1968 roku wezwła go personalna oświadczając, że co do muzyki nie ma zastrzeżeń, ale są obiekcje ze strony personelu administracyjnego za jego karygodny stosunek do kobiet, zwłaszcza do jednej szatniarki, i to jest dla teatru dużym problemem dyscyplinarnym. Istniał także donos, że Spiro publicznie obrażał dyrektora Liberę. Olo odpowiedział, że kobiety uwielbia i szanuje, a dyrektora nigdy nie obrażał, w ogóle w życiu nikogo nie obraził. Jednak pani personalnej podziękował, bo ułatwiła mu decyzję wyjazdu z Polski, której nigdy opuszczać nie chciał, choć jak zostać w sytuacji dla Żydów nie do zniesienia, zwłaszcza po przemówieniu Władysława Gomułki – nie wiedział.

Hangary Urzędu Celnego znajdowały się wtedy blisko Umschlagplatzu. Wszyscy wiedzieli, że z przedwojennymi skrzypcami, Ola z Polski nie wypuszcza, a kto zostawia takie dziecko i udaje się sam w podróż bez prawa powrotu?

– Panie Leszku, nie wszyscy w tamtych czasach byli antysemitami. Poszedłem do Związku Lutników, na Krakowskim Przedmieściu, i powiedziałem, że bez tych skrzypiec nie mogę wyjechać. Dali mi zaświadczenie, że skrzypce są zrobione po wojnie przez jakiegoś lutnika w Kaliszu i nawet nie wzięli za to pieniędzy. – mówi Olo – Wiemy, co się dzieje, panie Spiro, pan nie jest pierwszy. Przyjeżdżają do nas skrzypkowie z całej Polski.

U konserwatora zabytków także potraktowano sprawę życzliwie. Pani konserwator, której nazwiska Olo nie pamięta, załatwiła odpowiednie zaświadczenie, przepraszając za wszystko co się teraz dzieje w Polsce. Lutnicy warszawscy i ludzie w biurze konserwatora zaniżali wartość skrzypiec, umożliwiając wyjazd z nimi żydowskim skrzypkiem. W tych czasach do specjalnego spisu dla urzędu celnego wpisywano nawet kawałek mydła .

– Mamy tutaj ten wykaz celny, z tym wpisanym mydłem, razem z listami Ola od ojca z Getta Warszawskiego do Rosji i kartą pracy na Syberii – mówi Lucyna. Leonid Olo Spiro dostał od władz polskich pięć dni na opuszczenie Polski. Zapakowano niewiele, Lucyna została, żeby polikwidować resztę. Nie mieli jeszcze ślubu, pobrali się w Sztokholmie. Olo zdążył jeszcze tylko schować do walizki opakowaną pieczęlowicie przedwojenną książkę telefoniczną Warszawy.

– Lucynko, przynieś panu Leszkowi naszą książkę – prosi Olo. Lucyna ostrożnie wyciąga z szuflady przedwojenny spis telefonów dla miasta Warszawy, niesie ją z taką czcią jakby niosła Torę. Zdejmuje z książki plastikową obwolutę i Olo drżącą, chudziutką ręką pokazuje mi ulice, reklamę pogotowia na drugiej stronie – było też żydowskie – różne sklepy, zwłaszcza lutnicze, księgarnie i kawiarnie, i numer telefonu do swojego mieszkania na Żurawiej, w którym się wychował.

Twarz jego jest teraz uśmiechnięta. Kartki książki dotyka z czułością. Widać, że mu to sprawia wyraźną radość, bo na chwile odżywa uśmiech, staje się dzieckiem, choć ma przecież 90 lat, a jego cały niewinny, ciepły i radosny świat to Warszawa, zawarta w tej książce telefonicznej z końca lat 30-tych.

Miasto, swoje zobaczył od wyjazdu w 1968 roku tylko raz, w 1979. Wtedy, w ramach przyjaźni bez granic, Opera Warszawska była zaproszona na gościnny występ w Sztokholmie, natomiast Opera Królewska w Sztokholmie, z ponad dwuosobowym zespołem złożonym z baletu i muzyków, miała wystąpić w Warszawie. Ołowi Spiro odmówiono wize. Cały zespół szwedzki zaprotestował i dyrekcja postanowiła odmówić wyjazdu. Zadzwonił potem do dyrektora zespołu ambasador PRL z przeprosinami i wyjaśnieniem, że zaszła pomyłka, bo, zdaje się, jest jeszcze jeden Leonid Spiro w Szwecji a, to nie chodzi o tego skrzypka z Królewskiej Opery tylko tego drugiego.

Na Okęciu połowa szwedzkiego zespołu przeszła przez kontrolę, za Ołem stanął dyrektor zespołu, bo na wypadek, gdyby go zatrzymano, połowa zespołu odmówiłaby przejścia na drugą stronę i wszyscy wróciliby samolotem do Szwecji. Olo przeszedł, chociaż był bardzo zdenerwowany.

– Patrzyłem na miasto z bólem, mówił Olo. Tym bardziej, że niektórzy z kolegów, których chciałem zobaczyć byli w tym czasie w Sztokholmie – wspominał. Nie wiadomo, kto zawiadomił redakcję niemieckiego "Sterna". Tygodnik napisał, na końcu artykułu o tym zajściu, że Żyd polski, którego nie chciano wpuścić do Polski, miał na pulpicie te same białe-czerwone goździki, co reszta orkiestry.

Olo zakończył karierę w randze królewskiego skrzypka kameralnego.

Na jego pogrzeb przyszli koledzy z orkiestry, chociaż przeszedł na emeryturę 20 lat wcześniej. Grali Mozarta. Olo już nigdy więcej nie widział Warszawy. Pytam Lucynę, już po jego śmierci, czy tęsknił za Polską. – Bardzo tęsknił, ale długo miał zadrę w sercu, a potem, kiedy już chciał, żebyśmy pojechali – nie miał zdrowia.

Każdego, kto mógł pojechać do Polski, prosił o zrobienie zdjęcia z Żurawiej – opowiada. Książka telefoniczna podarowana została przyjaciółom w Sztokholmie. Jest jeszcze trochę zdjęć i plakat z pierwszego koncertu w Filharmonii Narodowej w 1949 roku z nazwiskiem Leonid Spiro – skrzypce. Ten kawałek mydła też, no i mnóstwo nut, które leżą w piwnicy. Skrzypce, które uratowały mu życie okazały się nie takie wartościowe, więc nie ma na nie kupca. Trochę są uszkodzone - pękły gdy walnięto w nie pieczęcią Urzędu Celnego. Lucyna ma je w domu i, za moją namową, może je odda kiedyś Muzeum Historii Żydów Polskich w Warszawie. [List z Getta Warszawskiego z 7 maja 1941 od ojca Arnolda do Olo wieznia lagru na Syberii](#)

bedzie przekazany 24 kwietnia 2008 na rece Marszałka Sejmu RP Bronisława Komorowskiego wraz z podziękowaniem za jego przesłanie napisane 15 marca 2008 do uczestników uroczystości z okazji 40-tej rocznicy Marca zebranych w tym dniu w Złotej Sali tzw. Noblowskiej Ratusza Miejskiego w Sztokholmie. Zachowała się też oryginalna pieczęć z laku, z warszawskiego Urzędu Celnego, z orzełkiem bez korony w środku, którą skrzypce opieczętowano przed wyjazdem. Teraz u Lucyny, w domu na południu Sztokholmu, złamana na dwie połówki, żeby skrzypce można było, 40 lat temu, rozpakować. Chyba jedna połówka jest polska, druga żydowska...

### ***Adam Wiernik***

Jesienią 2006 zadzwoniła znajoma, że umarł Adam Wiernik. Czy wiem, kiedy i gdzie będzie pogrzeb. Zapytałem Simę, żonę Adama kiedy i na którym cmentarzu żydowskim będzie pogrzeb, bo są dwa takie. Usłyszałem, trochę zdziwiony, że na Cmentarzu Północnym w Sztokholmie. Jest to wprawdzie jeden z najpiękniejszych cmentarzy na świecie, znajduje się na liście światowych zabytków, ale protestancki. A Adam był Żydem! Wiedziałem, że urodził się w Warszawie i że cała jego rodzina zginęła w czasie okupacji, że pracował z legendarną aktorką, laureatką Oscara za „Sklep przy ulicy Głównej” – Idą Kamińską. Pisał, dla jej teatru muzykę, ona też opuściła Polskę w 1968 roku. Często grał na skrzypcach razem z ostatnim klezmerem Rzeczypospolitej Leopoldem Kozłowskim i wydał kilka albumów piosenek żydowskich. Był kochany przez całą artystyczną Polskę, miał tysiąc przyjaciół, ale w 1968 roku postanowił zostawić wszystko i emigrować do Szwecji.

Wojnę, jak wielu, przeżył w Rosji, grał w zespole Edi Rosnera, wtedy uwielbianego jazzmana. W Moskwie zlustrowano zespół, poproszono, żeby zagrał koncert, na który przysłała tylko jedna osoba – towarzysz Józef Stalin. Spodobała mu się ta gra, może wyszedł z założenia, że w Sowietach ma być wesoło, bo czasy były ciężkie. Zespół Ediego Rosnera całą wojnę noszono na rękach, był legendą jak Louis Armstrong w USA. Po wojnie rozgoniono zespół, Edi Rosner umarł w samotności w Berlinie.

Do Polski Adam Wiernik przyjechał w 1945 roku z piękną aktorką rosyjską Simą. W Krakowie grał w jakimś hotelu za śniadanie, skromne wynagrodzenie i nocleg. Z jego

dziewięcioosobowej rodziny nikt się nie uratował oprócz siostry pianistki, Anny Wiernik, która przeżyła Auschwitz i w młodym wieku zmarła na gruźlicę. Adam nigdy, ani jednym słowem, nie mówił dzieciom, Jurkowi i Żanecie, o czasach Zagłady. Kiedyś tylko, w Sztokholmie, siedząc zamyślony w fotelu, nagle wspomniął młodszego brata, mówiąc, że szkoda, że nie pociągnął go za sobą do Rosji. I tylko tyle wiemy o jego rodzinie. I nikt nie wie więcej. Jurek – spontaniczny, uczynny, wesoły, dusza każdego towarzystwa – mówi rzecz straszną, że jest człowiekiem bez przeszłości, bo nigdy nie miał żadnej babci ani dziadka.

Po wojnie Adam zorganizował Orkiestrę i Chór Radiowy w Krakowie i został jej dyrygentem. W 1956 r. został Dyrektorem Artystycznym Centralnego Zespołu Pieśni i Tańca Wojska Polskiego – jedyny cywil w tym wielkim zespole. Pracował z ogromną pasją, oddychał muzyką, komponował. Absolwent Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie, miał być, według swoich profesorów, wirtuozem, ale zamienił to na batutę dyrygencką. W Warszawie, dokąd musieli się przenieść, mieszkali Wiernikowie w trzypokojowym mieszkaniu na Placu Zbawiciela. Bywało, że na kozetce w kuchni spał Leopold Kozłowski, gdy przyjeżdżał z Krakowa. Wpadał Zbyszek Cybulski, bywała Irena Santor, Czesław Niemen, Wojciech Młynarski, Agnieszka Osiecka. Wojciech Jaruzelski, który mieszkał obok, miał, z żoną Basią, pokój z kuchnią, przychodził często do sąsiadów na zsiadłe mleko i kartofle. To danie lubił najbardziej, wspomina Sima Wiernik. Jurka czasem nosił na barana. Monika, córka Jaruzelskiego, do dziś traktuje Jurka jak brata. Wspólna klatka schodowa przy Placu Zbawiciela związała ich mocną przyjaźnią. Ojciec powiedział niedawno Monice, że do dzisiaj nie czuje się komfortowo bo zbyt chłodno pożegnał się z Wiernikami.

Adam był filarem festiwali w Sopocie, a potem w Opolu; został kierownikiem muzycznym tych wielkich imprez. W czasie festiwali w Opolu miasto kołysało się razem z amfiteatrem i wszystkimi restauracjami, ratuszem i wieżą piastowską. Poziom wody w Odrze był, wczesnym latem 1967 roku, niski, ale miasto i tak zalała powódź wódki

Prezydent miasta, Karol Musiał, swoim charakterystycznym chwiejącym się krokiem, obchodził rano rynek, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku i

oczekiwał Adama, bo bez niego festiwal nie mógłby się odbyć. A on, na kilka dni przed festiwalem, przyjeżdżał olbrzymim błękitnym Chevroletem kupionym za chałtury z Pagartem w USA, samochód widmo, ponieważ Adam był bardzo niskiego wzrostu i nie było go w ogóle widać za kierownicą. Zakonnice opolskie z pobliskiego klasztoru żegnały się z przerażenia. Samochód ledwo mieścił się na rynku więc Komenda Wojewódzka MO wysyłała na rogatki miasta dwóch motocyklistów, żeby pilotowali kierownka muzycznego festiwalu do centrum miasta. W Opolu bywał szef Komitetu Radia i Telewizji Włodzimierz Sokorski, lubił tam przyjeżdżać, siedział na próbach i swoimi małymi oczkami wyłapywał najpiękniejsze piosenkarki. Tylko Lucjan Kydryński i towarzysz Witold Filler, polityczny nadzorca tej imprezy, byli zawsze trzeźwi.

Adam Wiernik jedynie, potrafił w ciągu paru dni zorganizować 100 osobowy zespół połączonych różnych orkiestr. Wystrzelivano tyle petard, że kiedyś stopił się dach wieży piastowskiej a nikt tego nie zauważył. Dla władzy ludowej w Warszawie najważniejszy był argument, że festiwal powinien odbyć się w Opolu, bo jak nawet jedna gazeta niemiecka napisze, że festiwal polskiej piosenki odbywa się w tym mieście, to propagandowo zwróci się wszystko z naddatkiem. Bal trwał. W roku 1967 w Opolu też było hucznie. Daleko od Warszawy, gdzie rozpoczęły się już zwolnienia Żydów z pracy i nie tylko w ministerstwach, redakcjach, , wydawnictwach i centralnych urzędach, ale również w Ursusie i na Żeraniu . W końcu jednak niepokoje doszły do amfiteatru.

Jan Zalewski, poeta, świetny autor tekstów piosenek, jeden z członków biura artystycznego i organizacyjnego festiwalu był zakłopotany, bo właśnie w czerwcu 1967 r. Izrael w 6 dni rozgromił wojska arabskie a w Polsce rozpoczął się właśnie festiwal piosenki. Polacy triumfowali, bo nasi Żydzi rozbili Ruskich a ktoś puścił w amfiteatrze pogłoskę, że Zalewski napisał hymn Egiptu i wciągnął do syjonistycznego spisku piosenkarkę Joannę Rawik, bo tekst jej piosenki był taki: „Po co nam to było, po co nam to było, jeszcze nic się nie zaczęło, a już się skończyło. Ledwo zapłonęło jedną krótką nocą , po co nam to było, po co ” Pomimo kłopotów, Jan Zalewski nie wyjechał nigdy z Polski.

A Adama Wiernika nikt nie wyrzucał z pracy, bo był wszędzie, ale nigdzie na etacie. Nie wyrzucano ale ...wyjechały dzieci. Najpierw Żaneta, potem Jurek. Dla syna Adam pożyczył od Kozłowskiego 100 dolarów i kazał schować je w butach. Oficjalnie wolno było wywieźć 5 dolarów. Dla Adama i Simy sytuacja psychicznie była nie do wytrzymania, dopiero 22 lata po wojnie i po Zagładzie a już rodzina rozbita.

Jesienią 1969 r. przyjechali do Szwecji.

Adam zaczął komponować i szybko wpisał się na listę uznanych i cenionych kompozytorów szwedzkich. Jego utwory grano potem w Szwedzkim Radio i w BBC. Na festiwalu filmowym w 1981r., otrzymał Grand Prix za muzykę do filmu o szwedzkim artyście Lindströmie. Jednak dla niego prawdziwe i pełne życie, w jakimś sensie, zakończyło się wraz z wyjazdem z Warszawy. Żył po cichutku. Polskę starał się od siebie odsunąć żyjąc teraźniejszością, pracą, wnukami. Grał też w bardzo dobrym teatrze muzycznym. Czasami dzwonił do niego, do Szwecji, Wojciech Młynarski, reżyser z Sopotu i Opola Jan Rzeszewski czy Lucjan Kydryński. Jednakże przez ponad dwadzieścia lat nie mógł przyjechać do Polski nawet na chwilę, bo nie wpuszczano Żydów do 1989 r. Potem był tylko dwa razy. Krótko. Zachował do kraju ogromny żal, ale nie mówił tego głośno. Kiedyś pytałem go, już po 1989 r., czy nie chciałby pojechać na dłużej do Polski, milkł a na twarzy pojawiała się od razu zubożenie albo zagadywał na inny temat. Widocznie to pytanie było dla niego dotkliwe. Kiedy się zapomniał, entuzjastycznie zaczynał opowiadać... A w Sopocie w 1965-tym ... Zaraz jednak gasł, jak zdmuchnięta świeca.

W Dictionary of International Biography wydanej w Cambridge w Anglii jest notatka z życiorysem Adama. Trochę zdjęć ma Jurek, który mieszka teraz w Warszawie i Sima, która została w Sztokholmie, rzadko wychodzi teraz z domu. Jurek dzwoni z Warszawy codziennie i rozmawiają godzinami, ale Sima nie chce się przeprowadzić do Polski, chociaż, kiedy raz odwiedziła Warszawę, to jeden lekarz, który ją badał, był taki wspaniały, że trudno u o takich w Szwecji. Wybrała samotność.

Na cmentarzu podszedłem do pastora, który pasjonował się muzyką i prowadził z Adamem długie dyskusje. Zapytałem, jak to się stało, że Adam na pięć lat przed

śmiercią zmienić wyznanie. „Powiedział, że nie chce umierać jako żyd, bo na pogrzebach żydowskich nie grają muzyki“.

– A może nie chciał umierać jako żyd dlatego, że żydowski Bóg odwrócił się od 6 milionów zamordowanych Żydów? Ja też tak myślę, odpowiedział pastor.

Był 9 października. O tej porze roku w Szwecji jest zazwyczaj szaro i smutno, ale dla Adama wyszło tego dnia słońce. Na cmentarzu nie było wiele osób. W kaplicy muzyka Jana Sebastiana Bacha. W nekrologu w gazecie nie było ani gwiazdy Davida, ani krzyżyka. Dwa polskie Krzyże Zasługi, jeden srebrny, drugi złoty zostały u Simy na dnie szuflady. Adam nie chciał umierać jako Żyd lub Polak, zmarł jako protestant, ale w nekrologu były tylko małe skrzypeczki i napis: Adam Wiernik urodzony w Warszawie, zmarł w Sztokholmie.

### ***Henryk Kowalski***

Muzyka w ogóle, a muzyka skrzypiec w szczególności, ma trudności z przeciwstawieniem się złu, jest ona najwyżej ucieczką w dobro. Jednak jazz a potem rock bardziej się przysłużyły zawałeniemu komunizmu niż wiele prac sowietologicznych. Piosenki tworzone w krakowskiej „Piwnicy pod baranami” były ucieczką od kiczowatej marności socjalizmu. Wtedy powstała muzyka Jana Zarzyckiego do tekstu wielkiego poety rosyjskiego o żydowskich korzeniach, Osipa Mandelsztama, zamordowanego przez Stalina. W tamtych czasach Mandelsztam był w ZSRR zakazany w druku i w czytaniu. Kiedy Ewa Demarczyk zaśpiewała „Skrzypka Hercowicza” na recitalu w Moskwie, po stolicy ZSRR rozniosło się to błyskawicznie. Widownia śledziła na koncercie tekst rosyjski z latarkami, a owacjom nie było końca. Jej głos i muzyka krakowskich skrzypków w Moskwie były powiewem wolności. Zło trwało w Rosji jeszcze wiele lat, ale partia nie mogła już w latach 60-tych w pełni panować nad głosem, dźwiękiem, słowem i poezją, nie tylko w „Piwnicy pod baranami”, ale wszędzie, gdzie bywała młodzież. To wtedy „Szewcy” Witkacego w Teatrze Kalambur we Wrocławiu, w reżyserii absolwenta polonistyki Włodka Hermana, również emigranta do Danii w 1968 r., byli największym wydarzeniem teatralnym, nie tylko w Polsce. Dojrzewało nowe pokolenie polskich

poetów. Dla Juliana Konhausera, Stanisława Barańczaka, Adama Zagajewskiego, Ryszarda Krynickiego i wielu innych rok 1968 był pokoleniowym przełomem.

Henryk Kowalski, też należy do tego pokolenia. Studiował w Wyższej Szkole Muzycznej w Warszawie. Wyemigrował w 1968 roku, a dzisiaj jest profesorem skrzypiec, w Indiana University School of Music w Bloomington, w USA, która, obok Juilliard School of Music, jest absolutną światową czołówką uczelni muzycznych.

Jest urodzonym już po wojnie potomkiem rodziny, która składała się z muzyków, aktorów i ...fryzjerów. Jego ojciec Leon, skrzypek koncertowy, ukończył Wyższą Szkołę Muzyczną w Warszawie, której rektorem był Karol Szymanowski. Gdy się wybierał przed wojną jako samouk z Suwałk zdawać egzamin wstępny, jego mama Chana zastawiła pościel, aby pożyczyć pieniądze na bilet. W licznej rodzinie żyło się skromnie. Leon pracował także w czasie studiów. Grywał w różnych zespołach, raz podszedł endek i wybił mu skrzypce z rąk. We wrześniu 1939, po przemówieniu prezydenta Warszawy Starzyńskiego, Leon Kowalski, w ślad za swoją jednostką, doszedł aż do Brześcia, ale jego jednostki już tam nie było. Grał krótko w Brześciu w orkiestrze, a kiedy Niemcy zajęli miasto, poszedł dalej do Rosji. I tu grał w orkiestrze. Uciekł jednak w poszukiwaniu polskiego wojska. Złapano go. Oficer polityczny, który go przesłuchiwał, darował mu życie pod warunkiem, że już nie będzie uciekał z orkiestry. Po wojnie, w Warszawie, Leon Kowalski przeczytał w gazecie, że oficer ten, Piotr Abrasimow, został ambasadorem ZSRR w Polsce. Zadzwoił do niego i spotkali się w 1957 roku, po raz drugi.

Z rodziny ojca Heńka i jego mamy Haliny, rodowitej warszawianki, uratowali się nieliczni, ale w domu nie mówiło się zbyt wiele o tych czasach. Nie omijano tylko rocznicy powstania w Gettcie Warszawskim, w którym zginęła większość rodziny mamy. Dla rodziców najważniejszym było, żeby teraz dzieciom, Heniowi i braciszкови Kubie, było dobrze, żeby byli syci i dobrze się uczyli. Ojciec pracował najpierw w Filharmonii, potem w Operze i Operetce.

Do Klubu studenckiego „Stodoła” nie chciano Heńka, jako 16-latką, wpuszczać. – Ale jak pograsz trochę jazzu to cię wpuścimy. Więc z Grzegorzem Brudko założyłem w 1964 roku Asocjację Hagaw, mówi Henryk.

Do Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej dostał się bez problemów. Miał najwyższe oceny przez całe studia. Był w klasie znakomitego pedagoga profesora Tadeusza Wrońskiego, samo to nobilitowało. Henryk jeździł z Hagawem po całej Polsce. Grał jazz z ogromnym sukcesem, zdobywając nagrody na wielu festiwalach. Kiedy profesor Wroński dowiedział się o tym graniu, poprosił go, żeby zaprzestał, bo to deformuje rękę i wtedy Henryk obiecał mu, że tak zrobi. Dwa dni później profesor przez przypadek włączył telewizor i zobaczył Henryka na scenie, na festiwalu w Opolu. Wezwał go do siebie i oświadczył, że słowo jest słowem i Henryk musi przejść teraz do innej klasy. Henryk poprosił tylko, żeby nie mówił o tym ojcu, i przeniósł się do profesora Krzysztofa Jakowicza, bardzo zdolnego, młodego skrzypka i pedagoga, wtedy asystenta profesora Wrońskiego, którego oko cały czas czuwało nad Henrykiem. Poprzez swego asystenta dawał wskazówki, co i jak Henryk Kowalski powinien grać.

Polityka w naszej szkole, mówi Henryk, nikogo nie obchodziła. Świat poza muzyką interesował nas tylko na wykładach filozofii profesora Pawła Beylina, którego uwielbialiśmy i po prostu nie wypadało nie przyjść na jego zajęcia. Wykładał w taki sposób, że biegliśmy szybko do biblioteki pożyczyć co najmniej pięć książek i je dokładnie przeczytać, aby potem móc z nim rozmawiać po zajęciach.

Kiedy w marcu 68 wybuchły zamieszki na Krakowskim Przedmieściu, studentów PWSM zwołano na wiec zwołany przez ZMS, którego przewodniczącym był wtedy student Gryzik. Mieli potępić zachowanie kolegów z Uniwersytetu Warszawskiego. Odczytano prawie gotową rezolucję popierającą partię. Heniek Kowalski z IV roku skrzypiec, nic nikomu nie mówiąc, pojechał wtedy na Uniwersytet Warszawski i przywiózł szybko dwóch studentów filozofii, aby oni opowiedzieli prawdę o zajściach na Krakowskim Przedmieściu. Pierwszą rezolucję wyrzucono wtedy do śmietnika i do napisania nowej powołano komitet, do którego studenci wybrali swoich przedstawicieli: trzech studentów, w tym Henryka Kowalskiego, oraz profesorów Pawła Beylina i prorektora PWSM, kompozytora Witolda Rudzińskiego.

Po burzliwej dyskusji entuzjastycznie przyjęto nową rezolucję, która potępiła prześladowania studentów i przez cztery tygodnie wisiała ona w gablocie przy głównym wejściu do gmachu. Wkrótce potem Henrykowi odmówiono paszportu na wyjazd Hagawu na ważny festiwal w Niemczech, i nie pomogła nawet interwencja Zofii Komedowej u dyrektora departamentu w Ministerstwie Kultury, którego znała osobiście. Zrobiła mu po tym piekielną awanturę. Odmowę motywowano tym, że Kowalski swoim postępowaniem uwłacza dobremu imieniu studenta polskiego.

Po Warszawie puszczono plotkę, że, kto do końca sierpnia 1969 r. nie złoży podania o dokument podróży na emigrację – później nie będzie mógł wyjechać. Ale Heniek i jego brat Jakub – wiolonczelista, zdecydowanie nie chcieli wyjeżdżać.

W tym właśnie czasie rektor PWSM, prof. Marcin Zalewski, zadzwonił do ojca - opowiada Henryk. A ojciec nie lubił nigdy szukać protekcji i nigdy mi nie powiedział, że znał się z rektorem jeszcze sprzed wojny, bo grali razem w różnych zespołach. Rektor powiedział ojcu: zabierz go stąd, bo szkoda talentu, oni są tak na niego zawzięci, że wezmą go do wojska, a to dla skrzypka nie jest wskazane, po wojsku syn będzie miał inne ręce. Rodzice postanowili więc, że jednak musimy wyjechać. I że robią to tylko ze względu na mnie i Jakuba. Pojechaliśmy do Danii.

Z urzędem celnym, a w całej Polsce grabiły one, ile wlezie, nie było problemu, a same skrzypce, zwykłe poprzeczniaki, nic nie były warte. Przydały się zaraz po przyjeździe do otrzymania prestiżowej duńskiej nagrody Jacob Grade Prize. Wówczas Henryk grał koncert Bethovena i sonatę na skrzypce solo Beli Bartoka.

Pisze potem list do profesora Wrońskiego, do Bloomington, że chce dokończyć studia. Profesor miał tam podówczas gościnną profesurę dzięki Josefowi Gingoldowi, genialnemu skrzypkowi urodzonemu w Brześciu Litewskim, który przez wiele lat był koncertmistrzem u Arturo Toscaniniego a potem koncertmistrzem w fenomenalnej orkiestrze George Szella w Cleveland.

Profesor Wroński odpowiedział, że z tym, co Henryk umie, bez kłopotu znajdzie miejsce u najlepszych profesorów w Europie, podał mu kilka adresów, ale Henryk odpisał mu, że jednak woli pojechać do niego. W Bloomington kontynuuje więc

studia u profesorów Gingolda i Wrońskiego. Zostaje najpierw asystentem u Wrońskiego, a potem, po wyjeździe profesora do Polski, asystentem u profesora Gingolda. W 1974 roku otrzymał prestiżowy Artist Diploma, zostaje wkrótce wykładowcą na tej uczelni a od wielu lat – stałym profesorem. Koncertuje w tym czasie na trzech kontynentach a założone przez niego razem z bratem Jakubem Trio Europe odwiedza najbardziej prestiżowe sale koncertowe na świecie.

Prowadzi zajęcia w klasach mistrzowskich w Szwecji, Japonii, Korei, Islandii, USA, Polsce, Singapurze, Tajwanie. Jest honorowym członkiem Japońskiego Stowarzyszenia Wiolinistów. Jest też ojcem Leonka, który gra na skrzypcach, bo ma talent. Henryk Kowalski jest również profesorem skrzypiec w Królewskiej Wyższej Szkole Muzycznej w Sztokholmie. Wychował już sporą gromadkę artystów, którzy grają na świecie w prestiżowych orkiestrach, wygrywają konkursy lub też są już profesorami.

Spośród wielu swoich uczniów z całego świata, Henryk Kowalski wybrał sobie na swojego asystenta skrzypka z Warszawy, Bartosza Cajlera, który prowadzi zajęcia w Sztokholmie, kiedy jego profesor jest w Bloomington, albo gdzieś w świecie. Niedawno Bartosz Cajler został profesorem skrzypiec w Wyższej Szkole Muzycznej w Västerås. A duch Wieniawskiego, krazy dzisiaj po Kopenhadze, Bloomington i Sztokholmie. I w taki sposób pałeczka, w polsko-żydowskiej sztafecie gigantów sztuki skrzypcowej została przekazana

Leo Leszek Kantor